

Kakofonia

Po obejrzeniu premiery Adama Sroki nikt nie uwierzy, że jego „Symfonia lokatoris” to jeden z najlepszych dramatów, jakie przeczytałem w ostatnich latach

W lekturze wizja Sroki-autora jest porywająca: ściana wielkiego bloku przecina scenę jak kadłub „Titanica”, patrzymy nad nią pod dziwnym kątem oczami bohatera, może trupa, może pobitego chłopaka z amnezją, który nie wie, skąd tu się wziął. Didaskalia są jego monologiem wewnętrznym, przypominają gwałtowne wyrzucanie słów przez kogoś, kto boi się, że jak skończy mówić, to przestanie istnieć. Czytanie „Symfonii lokatoris” to jednocześnie słuchanie zrytmizowanego języka tłumu wielobarwnych postaci gadających wokół bohatera. Z gmachu-widma wyłazi straszna menażeria: cudaki, dresy, babska i degeneraci: z kakofonii narzekań i awantur wyłania się skomplikowana forma muzyczna rozpięta między hip-hopem a operetką. Schizofreniczna rzeczywistość sypialni wielkiego miasta, a raczej jego smietniska,

Biedni aktorzy z „Symfonii lokatoris”



nie gubi równowagi między absurdem a liryką. Nikt tak dotąd nie spojrział na polskie osiedla.

Teraz sceniczny konkret. Załamałem się już, jak tylko zobaczyłem dekorację: budżetowa bieda i bezguście bije z każdego detalu. Te wszystkie włóczkowo-szmaciane mansjoniuki upchnięte na niskim podeście, wieszaki na ubrania, koce i koraliki zwisające z przejść technicznych. Brrr! Sroka wciska swoją monumentalną wizję w ograniczoną przestrzeń Stolarni, nie umie jej zagospodarować, otworzyć na metafory. Kleci spektakl z tego, co ma pod ręką, wbrew interesowi autora. Najgorzej, że Sroka kompletnie nie znajduje klucza

aktorskiego do sytuacji dramatycznej. Biedni aktorzy próbują naiwnie psychologizować albo grają tak zwane ogólne stany towarzysko-symboliczne. Zażenowani, że nie rozumieją konwencji przedstawienia (nazwijmy ją pseudomagiczno-quasi-poetycko-kulopłotną!), nie mają jasnych zadań. W ogóle nic nie mają – poza śmiesznymi łachmaniarskimi ubrankami. Broni się jedna jedyna Barbara Szałapak (Jadzia), bo jej bohaterka, nieudana śpiewaczka, ma jakieś emocje i życie wewnętrzne. A ponadto rozdzierająco żałośnie wykonuje arię z „Hrabiny Maritzy” Kalmana. Kiedy przyłącza się do niej całe osiedle, przez krótki moment jest w spektaklu Sroki laurowo i jasno.

Mam nadzieję, że teatralny samobój autora nie kończy scenicznej przygody tego dramatu. Warto go czytać, trzeba koniecznie wystawić, tak jak został zapisany. Czekam.

Łukasz Drewniak

SYMFONIA LOKATORIS

Adam Sroka

reż. autor

Teatr Ludowy w Krakowie

Premiera 9 maja